

tygodnik katolicko-narodowy dla stanu średniego.

W Poznaniu, dnia 9go Lutego 1890.

Wychodzi co Niedziela.

Wydawca
W. Simon
w Poznaniu.

Przedpłata ćwierćroczna 3 złp. = 150 fen.
pod opaską 3 1/2 złp = 175 fen.
Ogłoszenia po 15 fen. od wiersza drobnego.

Redaktor
Stefan Szyperski
w Poznaniu.

SKNERA

POWIEŚĆ

I.

Zima rozwinęła cały swój majestat. Wszędzie jak okiem zasięgnąć, nie więcej nie widać, jak bielutki całun, pokryty ciężej uspiołą naturę. Śnieg błyszczy w promieniach słońca miga przed oczyma w różnobarwnych kolorach; a gałęzie drzew uginają się pod ciężarem na nim leżącym.

Pięknie to w czasach tęgiej zimy. Mówią, że wtedy natura uspioła. Może być; jednakże to uspienie ma tyle wdzięku i tyle powabu, że człowiekowi serce mocniej zapuka, gdy spojrzy w koło siebie. Zdaje się, że widzi miliony rozsianych pereł, które w promieniach słonecznych igrają w różnobarwnych tęczach. Ów biały całun urozmaicony to czerniącym się lsem — to tu i owdzie z niego wystrzelają pojedyncze drzewa, pojedyncze pełne grusze, a wszystko to nabiera jak ejs nowój, fantastycznej postaci.

Człowiek czuje się jakoś rzeświejszy. Nie dba on na mróz, baw się skrzypieniem zmarzłego śniegu pod stopami, a chociaż mocniej otulony, raźnie bierze się do pracy, bo wie, że właśnie ten silny mróz, ta biała powłoka zemi, to przepowiednia przyszłych urodzajów.

Na polach, w lasach cisza... cisza uroczysta, może taka, jaka panowała przed stworzeniem żyjących istot. Ptactwo odleciało, inne zwierzęta pokryły się po jamach i norach i czekają w śnie zimowym wiosennego przebudzenia; chyba tylko lis zaszczeka.

Za to wiśki ożywione. Ludzie krzątają się wesoło. Słychać jednostajny stuk cepów po łodołach; żóraw przy studni nieustannie skrzypi, a wiatrak ustawicznym kłopotem dzywa się na okolicę. Ludzie, przykuci więcej do domu, wesoło gwarzą i cieszą się, że nadszedł czas wypoczynku po pracach jesiennych i

cały dzień obmyślają, jak się wieczorem na wieczorynce przy świetle łuczywa na kominie u sąsiada bawić będą.

Z pomiędzy dziko zarosłego ustronia widać starą jakiś dom, podobny do ruiny zamczyska. I nie był on też zapewne czem innem. Większa połowa tego domu leżała w gruzach, druga nagimi murami sterczała w górę i — a pierwsze wejście się było wygodnym mieszkaniem dla nietopórzy i puszczyków. Czy kto tam mieszkał? Z wejścia niktby się tego nie domyślił, bo cisza zalegała, jak w grobie. Ani pies nie szczeknie, ani drzwi się nie uchylą, ani potłuczone w oknach szyby nie zajaśniają płomieniem łuczywa. Słychać tylko wtedy i owad trzask to z blizka, to z daleka... ale to nie więcej, jak trzask rozmaitych murów, albo trzask pękających lodów na niezbyt oddalonym jeziorze.

A jednak tu ktoś tędy chodzi, bo od staroświeckich wielkich drzwi widać ślady, widać wydeptaną ścieżkę, prowadzącą do niedalekiej, na kilkaset kroków oddalonej wioski. Ślady te są dwojakie: obok małych, zgrabnych stópek, widać jeszcze wielkie, pochodzące zapewne od silnego, rosnącego mężczyzny.

Zaraz na lewo ze sieni znajdowała się wielka, stirożytna komnata, już z natury ciemno, zdawała się być ciemniejszą, ponieważ szyby grubo śronem w rozmaite kwiaty pokryte, tamowały tym więcej przestęp światła dziennemu. Nic w tej komnacie nie było, coby wskazywało, że tu jest mieszkanie ludzkie, chyba na środku wielki, niezgrabny stół. Ściany, nagie, szklące się od śronu, migotały jak śnieg na dworze, a wszystkie rogi i kąty z pełnione były pajęczyną, z których pajaki dawno przed mrozem i zimnem pouciekały, albo wyniszwały.

A jednak w tym zimnym lodowem grobie znajdowało się dwóch mężczyzn. Siedzieli oni przy kominie nieme, nieruchomie, jak gdyby życie już dawno było w nich zastygło. Wcale oni do żyjących nie byli podobnymi; zdawało się, że w przenikliwym zimnie, jakie w tym lodowcu panowało, zmarzli, a trupy ich siedzą w tej samej postawie, w jakiej ich śmierć zaskoczyła.

A jednakże byli to ludzie żywi...

Jeden z nich był to starzec ze srebnymi włosami. Oczy swe w głębokich dołach zapadłe, zwrócone miał na kominek, na którym zglił się mały kawałek spróchniałego drewna, zapewne z porąbanego pnia po-

chodzący. Nogi w starych papciach ukryte, miał postawione na kominku i do samego zbliżone ognia. Siedział zgięty w pałąk i zdawało się, że radby je schował pod oponczą, pod którą miał już ukryte ręce. Cały drżał jak we śnie, a drżał tak ze starości, jak i z przenikliwego zimna.

Drugi był nęczyzna około czterdzięci lat wieku liczący. Siedział również skulony i zgarbiony, jednakże na pierwsze wejście można było, że był zdrow i silny. Twarz jego była uderzająco brzydka. Miała ona w sobie coś odrażającego, tajemniczego i napawała każdego, kto na nią spojrzał, jakąś niewypowiedzianą obawą. Oczy małe, uszyte pod wystającymi kośćmi, strzelały ustawicznie z pod gęstych brwi; raz zdawały się być zagasłe, nie znaczące; to nagle tryskały z nich ogień niepojęty. Nos zadarty, spłaszczony, o szerokich nozdrzach, mało co wystawał ponad kościstą twarz, a usta tak szerokie, że większą połowę twarzy zajmowały. — Wargi te co chwilę ścigały się do jakiegoś uśmiechu, który zdawał się być podobnym do ruchu warg dzikiego zwierza, kiedy wyszczęrzy swe zęby.

W ogóle fizjognomija tego człowieka, jak z jednej strony wskazywała na gotujące się we wnętrzu jego namiętności nieszlachetne, tak z drugiej strony wskazywała na przebiegłość, a poniekąd i na inteligencyją. Czy te sprzeczności były udane, czy naturalne, tego na pierwszy rzut oka odgadnąć nie było można. To jedynie uderzało, że pokorna postawa tego człowieka, nadawanie oczom wyrazu dobroduszości, a nagle strzelanie niemi, nie zgadzały się ze sobą.

Siedzieli obaj w najgłębszym milczeniu i obaj mieli utkwione oczy w żglący się ogień i zarazem w ich tuż przy ogniu będące nogi na kominie. Obuwie ich było tak nędzne, że z nich było można poznać, w jak wielkiej nędzy ci ludzie żyć musieli. Nawet ich na opał nie starczyło, pomimo że mieszkanie mieli w lesistej, bogatej w drzewo okolicy. Dawniej było ich obuwie butami, ale cholewy już dawno zniknęły, gdyż je pokrajano, aby niemi podszyc zdarte podeszwy. Gdy cholew na sporządzanie podeszew nie starczyło, nie było też czem narządzić, poczem palce wyzierały na świat Boży. Całe obuwie było wydeptane, wykoślawione, nieforemne i dziw, że utrzymał się jeszcze na ich nogach.

Jak obuwie, tak i ich odzienie świadczyło o straszliwej nędzy. Oponcze ich, to łachmany dziadowskie. Połatałe, podziurawione, bez guzików. Jednakże dawnej musiały być dość dobre, bo i dziś jeszcze po nich to widać. Nie mogły one jednakże teraz ogrzać swych panów i braku ciepła zastąpić.

Wreszcie nastąpiło poruszenie pomiędzy obydwojma mężczyznami. A to poruszenie nastąpiło tak równocześnie, automatycznie, że zdawało się, jakby byli albo się poprzednio porozumieli, albo też poruszeni sprężyną. Zresztą to poruszenie nie było tak znaczne; jedynie pociągnęli stołki bliżej kamina i równocześnie obaj więcj się zgięli w pałąk, tak że nosy ich stanęły

prosto nad dymem w komin uchodzącym. Przez to chcieli się bowiem lepiej ogrzać.

Teraz też obu oczy padły na inny przedmiot. Był to mały garnek, stojący tuż przy zgłiszczu w popiele, pełen wody i czegoś czarnego. Spostrzeżono, że w garneczku jeszcze się nie zagotowało. Młodszy mężczyzna nie zmieniając postawy, zaczął tak silnie na ogień dmuchać, aż mu oczy z pod brwi wyszły na wierzch, a policzki wzdęły się jak miech kowalski. Ogień jednakże z trudnością dawał się rozdmuchać. Wreszcie za usilne staraniem udało się mu o tyle głównię rozpalić, że woda zaczęła syczeć i wrzeć. Ale zagotować się jednak nie chciała, czy nie mogła.

Wtedy schylił się młodszy, aby sięgnąć po drugi kawałek drewna i położyć na ogień. Ale stary chwycił go za rękę.

— Co ty robisz, Marku? — zakrzyknął — czyż nie dość ognia? czy ci zimno?..

— I, nie — odrzekł zagadniony — owszem, mnie ciepło; chciałem tylko przyłożyć drzewa na ogień, aby wam, wujku, śniadanie co rychlej się ugotowało.

— Mam czas — mruknął stary — drzewo drogie...

— Ale już dziesiąta godzina będzie — wtrącił Marek — czas wujkowi zjeść co ciepłego, gorącego.

— At, co tam! — zaburknął wujek — gorące potrawy osłabiają żołądek, a drzewo bardzo drogie...

Marek nie przyłożył więc drzewa, tylko rozpoczął dmuchać, a stary obiema rękami objął garnek. Skostniałe ręce nie zaraz poczuły gorączki i dopiero po jakimś czasie stary syknął i co żywo ręce cofnął.

— Marku! — zawołał — wygas ogień i wystaw garnek... już ugotowane... gorące aż strach... sparzyłem się... wygas ogień, bo drzewo strasznie drogie.

Marek natychmiast powstał, wziął głownię i zarył ją w popiele, a potem ująwszy garnek oburącz, gdyż ucha nie było, wyniósł go na stół. Następnie sięgnawszy łyżkę zaczął rozdmuszać kawałki czarnego chleba pływające w ogrzanej wodzie, poczem garnek razem z łyżką postawił przed wujkiem w komin.

Stary sięgnął łyżkę, zamięszał i dmuchając w garnek, jakoby się obawiał, aby się nie sparzył, napawał się wonią, jaka się z garnka wydobywała. Oczy uradowane połykały prawie ową strawę, a jednakże stary nie zabierał się tak zaraz do jedzenia. Zresztą owa strawa wcale a wcale apetycznie nie wyglądała.

Wreszcie namyślił się i wziął pełną łyżkę stawy, którą z apetytem sporzył. Ale też zaraz spojrzał z wyrzutem na Marka.

— O! o! — zawołał — nie rozumiem wcale, jak ty możesz być tak lekkomyślnym.

— A cóż tam! — zapytał Marek.

— Obchodzisz się tak rozrzutnie z solą — gderał stary — jakby z nieba nie śnieg, ale sól padała.

— A... a... — jękał się Marek — przecież nie wsypałem za wiele; zaręczam... tylko małą szczyptę.

— Hm! szczyptę... — mruczał dalej stary — i szczypta za wiele, sól bardzo droga... Ale co widzę! — krzyknął nagle — tłuszcz! masło!... zjadł to ma-

sło się tu wzięło? Czy ty mnie chcesz na stare lata całkiem zniszczyć, zubożyć?

Marek rozwarł gębę do uśmiechu.

— Uspokójcie się, wujku, uspokójcie — odrzekł — to nie ja temu winien, tylko Monika.

— Jakto?

— Ona wczoraj gotowała pérki i włożyła w nie wielki kawał masła.

— Wielki kawał masła! — powtórzył przerażony stary.

— Tak jest — ciągnął dalej Marek — wielki kawał masła. Mógłbym był garnek wymyć, ale...

— Nie, nie, przerwał szybko wujek, byłoby to grzechem.. wielki kawał masła!...

— Ale tego nie uczyniłem, bobyśmy napróżno tyle tłuszczu stracili.

Stary ze zadowoleniem kiwnął głową.

— To rozsądnie, rzekł, to bardzo rozsądnie. Wiedzę, że z ciebie bardzo zacny człowiek, więc też nie zapomnę o tobie. Jeżeli umierając, zbędzie mi jeszcze co, to o tobie nie zapomnę, możesz być pewnym.

W tej chwili dał się słyszeć za drzwiami lekki szelest i bezpośrednio pukanie. I starzy i młodszy mężczyzna wstrząsnęli gwałtownie głowami.

— Zapewne to Katarzyna! mruknął stary; cóż chce ta łazęga? Nigdy nic nie dostała, a wiecznie się napięro!

— Niegedziwa! — syknął Marek, udaje krewniczkę... chce wsparcia, jałmużny...

— Wygnać, wygnać! — zawołał szybko stary, nie mam krewnych, nie znam, nie chcę.. Ha! dać.. i zawsze dać.. miała męża murarza... czemu był nieostrożny? czemu spadł z rusztowania i się zabił?.. wygnać... Marku, wypadź ją!...

Tymczasem drzwi się uchyliły i weszła uboga odziana i bardzo zgnędziała niewiasta z dziewczątkiem, liczącem może około siedmiu lat.

Na jej widok stary zwinął się w kłębek i znowu patrzył w zastygły kominek, a Marek doskoczył do wchodzącej.

— Co ty chcesz? — zakrzyknął, za drzwi!.. za drzwi!.. Po co tu łazisz?... chyba kąty przeglądać, aby potem okraść. Za drzwi!..

Niewiasta zwróciła się do starego.

— Anzelmie! — rzekła z cicha, zlituj się przebież.. chociaż nie nademną, to przynajmniej nad moim dzieckiem! Pomnij, że to jest dziecko twego krewnego, a mego nieszczęśliwego męża.

Stary Anzelm ani nie zadręgał, tylko zgięty w pałąk, patrzył dalej we wygasłe ognisko. Marek tylko doskoczył bliżej.

— Ha! — wrzasnął, widzisz ją! do krewieństwa będzie się przypisawała!... Za drzwi!... natychmiast fora!... robić ci się nie chce, tylko zebrać!... Za drzwi!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZDZIAŁ X.

WESELE.

(Ciąg dalszy.)

Godownicy po śniadaniu poszli na wielką Mszę świętą, a potem bawili się w domu wesoło aż do nie-sporów, na których miał się odbyć ślub. Stach jako drużba był bardzo zatrudniony; każdy wołał na niego: „Drużba, bo to twoja służba: dawaj piwa, wina, miodu!“ Ale Stach umiał wszystkim dogodzić, każdemu coś grzeczne i przyjemne powiedzieć, każdego rozweselić. Gdy się wybierano już do ślubu, a muzyka przestała grać pieśń: Kto się w opiekę, którą wszyscy pobożni śpiewali, utworzono kółko w koło drużby, a ten tak mówić zaczął:

Szanowni godownicy i wy nowożeńcy!

Podług staropolskiego, dawnego zwyczaju, Zachowanego w całym naszym kraju, Jest to rzeczą drużby; i gości zabawić, I wszystkim usłużyć, a gracko*) się sprawić; Zastawić obiad, przynieść kolację. A gdy tego potrzeba, powiedzieć oracyją. To też i ja, choć nieuczony, ani umiały, Chcę powiedzieć słów kilka dla Bozki chwały I dla pożytku waszego; Przeto posłuchajcie słowa mego: Kochani godownicy! mamy pójść do świętego kościoła, Gdzie wy nowożeńcy, wedle słów Apostoła Macie przyjąć wielki Sakrament, zawrzeć wielki ślub, Ślub, który zerwać może tylko śmierć, tylko grób! Wielka to chwila dla was, wy rodzice; Bo dziś z opieki waszej wypuszczacie dziecię; Wy syna, wy córkę, coście ich zrodzili, Wychowali, tyle dobrego dla nich czynili. Wielka to chwila i dla was, państwo młodzi. Bo ona wam albo szczęście, albo zgubę zrodzi; A jeśli mi wierzyć chcecie, Wiédźcie, że ten dzień, albo błogosławić, lub przeklinać będziecie. Nim więc puścicie się tą drogą w świat daleki, Nim kapłan ręce wasze zwiąże na wieki, Rozważcie jeszcze, co czynicie, Abyście nie żałowali tego całe życie. Rozważcie: jak kościół uczy, powiada, Że małżeństwo Sakrament nie lada; Że jeśli małżeństwo chce być szczęśliwe i dojść do nieba, To im wzajemnej miłości najpiérw potrzeba. Rozważcie wzajemnie powinności swoje: Ty młody panie, jak kochać żonę swoją, Jak ją szanować i żyć z nią w zgodzie; Bo gdzie zgoda, w takim domu, w takim rodzie, Jest łaska bozka i pomoc z nieba, Tam jest szczęście i dosyć chleba. A ty panno młoda, wiédź, że dobra żona Dla męża złota korona,

*) Zwinnie, zgrabnie.

A kłótnica i zła żona,
Jego cierniowa korona.
Pomnij, co Bóg powiada: żony niech mężów słuchają.
Niech im i trudy życia osładzają;
I dziatki na chwałę Bożą chowają.
Strzegą od złego, cnoty pouczają!
Bo jeśli panna z wieńcem na głowie, miła jak kwiatek,
Milszą jest Bogu matka, w gronie jak aniołki dzieciak.
Tak jeśliście sobie wszystko rozważyli,
Jeśli tak żyć chcecie i będziecie żyli:
O! moi drodzy, toć wam już nie trzeba.
Jak tylko wnieść oczy i serca do nieba.
A tam jest Opiekunka wasza,
Pocieszycielka, Orędowniczka nasza,
Święta Maryja, królowa nieba i ziemi
Co się lituje nad dziećmi swojemi,
Do Niej się udawajcie,
Do niej uciekajcie,
A Ona dziś i na wieki,
Nie wypuści was z swej świętej Opieki,
I uprosi Syna swego,
Że przyjdzie do domku waszego.
A jak w Kanie, gdzie uczynił wino z wody,
Przyjdzie i na wasze gody,

Co daj Boże. Amen.

Stach skończył. Jedni podziwiali jego mowę, drugim łąza do oczu się cisnęła. Potem rodzice błogosławili młodą parę, matka pokropiła wszystkich święconą wodą, muzyka zagrała marsza, i udano się na nieszpory. Ślub odbył się jak zwykle. Jadwiga nie zaniedbała, przystępując do ołtarza, przykleknąć Antosiovi skrzydło od sukmany, jak jej gospodynie doradziły, mówiąc, że w takim razie ona wzmie nad nim górę; choć co prawda, ani rozum w tym wielki, żeby w takich gusłach szukać szczęścia, ani bojaźń Boga wielka, bo niewiasta bojąca się Boga, nie pragnie przewodzić nad mężem, ale chce mu być posłuszną, jak Bóg przykazał. Ale to już tak bywa, że djabeł wszędzie coś swego wtrącić musi. --- W tym też organista zagrał: Veni creator*), Dobrodziej związał ręce stulą, i już para została połączoną na całe życie!

Powracającym do domu wyniesiono: dla gości --- chleba ze solą; dla młodego pana --- copy; dla młodej panny --- kądziel. Po serdecznych uściskach nastąpiła zabawa. Pili, ale nie kornusa; jedli, ale nie do obżarstwa, choć było tyle jadła, że się aż stoły gięły; tańczyli, ale nie sztajera; cieszyli się, ale nie posuwali do rozpusty; zgoła, bawili się, ale w bojaźni Bożej. Tak przeszedł rodzinom dzień pierwszy. Nazajutrz, już po oczepieniu Jadwigi uważano, że Stach, który wczoraj wszystkich bawił i był duszą całego towarzystwa, dziś posmutniał i chodził zamysłony. Jedni przypisywali tę zmianę znużeniu, drudzy niewyspaniu; kilka kumoszek zaś szeptało sobie, że ten smutek już dawniej u Stacha spostrzegały, i robiły ztąd różne wnioski i domysły, zwyczajnie jak kobiety.

*) Czytaj: Weni Kreator. Jest to początek łacińskiej pieśni do Ducha świętego, którą zwykle grywa i śpiewa się przed ślubem.

I Kasia widziała tę zmianę w usposobieniu Stacha, przeto gdy się oddalił do przyległej izby, gdzie napoje wszelkie pod jego dozorem zostawały, w krótkie potem pobiegła za nim, i zastała go tak zatopionego w myślach, że wchodzącej nie zobaczył, i nie usłyszał pierwój, aż gdy się do niego swym miłym odezwała głosem: „Bracie, przyszedłam dowiedzieć się od ciebie, czemuś dziś tak smutny? Czy ci się coś złego przytrafiło?”

— Nie, moja droga, odrzekł Stach; lecz ta myśl, że jestem sierotą, przygniała mię od niejakiemu czasu.

— I dla czego to, Stasiu, ta myśl czyni cię nieszczęśliwym? Alboż to i ja nie jestem sierotą.

--- Zapewne, żeś sierotą, Kasiu, ale bogatą!

--- Alboś to ty Stasiu nie moim bratem, a co moje, czy to też nie jest i twoje?

— Nie, Kasiu, nie mam, ani nie roszczę sobie prawa do twego majątku; bo lubośmy razem rośli i chowali się, wiesz, że nie jestem twym rodzonym bratem, ani nawet krewnym, i proszę cię, nie uważaj mię za brata!

— Jak to, Stasiu! a więc nie chcesz mi być bratem i już teraz nie kochasz swej siostry Kasi?

--- O! kocham, droga Kasiu, i kocham teraz bardziej niż kiedykolwiek! I gdybym nie był biednym sierotą!... Kasiu! jeśli chcesz mi łaskę zrobić, to przestań uważać mię za brata, a będziemy mogli być szczęśliwi tak jak Jadwiga i Antek dzisiaj są szczęśliwi!

— Nie pojmuje Stachu, co ci się stało; tak jakoś dzisiaj mówisz, że cię wcale nie mogę zrozumieć.

— Nie możesz mię zrozumieć Kasiu? Dobrze, to powiem ci wyraźnie, mówił Stach z zapalem: Oto kocham cię nad życie, i pragnę, abyś była moją, Kasiu do śmierci, abyś poszła za mną!

--- A co też ty wygadujesz, Stachu! zakrzyknęła lekko Kasia, zarumieniona bo nieprzygotowana na taką mowę. Ja, twoja siostra, miałabym być twoją żoną, pójść za ciebie? Nie, Stachu! byłam ci dotąd siostrą, siostrą chcę pozostać, jak siostra cię kochać; o niczem innem nie chcę wiedzieć!

Chciał Stach jeszcze coś mówić, ale Kasia uciekła do swych przyjaciółek wielce zmiészana.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zapraszamy

DO PRZEDPŁATY.
